

Wielki tydzień

RYSZARD KOSIŃSKI

218

MIMO obietnie nie dałem w ub. tygodniu okolicznościowego felietonu na otwarcie Teatru Wielkiego. Nie ma co ukrywać: zawiodłem, na usprawiedliwienie tylko powiem, że ległem niespodziewanie na grype. Ta nagła zima jaka w pierwszych dniach listopada oblapiła Polskę, dosięgła i Waszego korespondenta. No, ale na premierowe uroczystości już zdążyłem i oto daję z nich relację.

Sprawozdania mieliście już wcześniej, pozwólcie więc na próbę odtworzenia nastroju tych doprawdy wyjątkowych dni.

19 listopada. Teatr Narodowy – gotowa premiera „Kordiana”. W pierwszych rzędach przedstawiciele najwyższych władz państwowych i partyjnych z Edwardem Ochabem, Marianem Spychalskim i Stefanem Jędruchowskim. Ja siedzę bardzo wysoko, na jaskółce, wpadłem do teatru w ostatniej chwili i moje miejsce na parterze. porwał już ktoś inny. Widoczność jednak świetna, akustyka także. Z dołu dochodzi cichy pogwar, między krzesłami przesuwają się jeszcze zapóźniona para gości. Ale już kurtyna idzie w górę, a jednocześnie rozlega się Mazurek Dąbrowskiego. Na proscenium stoi z jednej strony minister Lucjan Motyka, z drugiej strony Kazimierz Dejmek w otoczeniu trójki aktorów. Następuje akt dekoracji Teatru Narodowego orderem „Sztandar Pracy” gratulacje ministra dla zespołu i od powiedź dyr. Dejmka.

W godne ręce dostał się ten order. Program, który został pod dyktando Dejmka uformowany określa miejsce teatru w najlepszych tradycjach narodowej sztuki teatralnej. Pisałem już w „Życiu Literac-

kim”, ale pozwolę sobie tę myśl powtórzyć, że Narodowy uczy nas wychowywać się jednego z dość licznych kompleksów – kompleksu niższości, udowadniając dobo-rem rodzimego repertuaru i kształtem jak-ki mu nadaje i polskie i jednocześnie europejskie, najwyższe loty naszej sztuki.



Dejmka pięknie, miłosciami porzuwając. Gdybym szukał jakiegoś skrótu myślowego dla określenia koncepcji reżyserskiej nazwałbym tego „Kordiana”. dramatem jakiegoś przeciętnego człowieka zamocącego się w trybach historii i ludzkich namietności. Gogolewski – bo on jest bohaterem tytułowym – prowadził swoją rolę wi-antnie przy opanowanej pozie romantycznej, nasyczał tę rolę jednak potrzebna dozą namietności. Podobało mi się to przedsta-wienie.

20 listopada. Pusty i do tej pory dość martwy plac Teatralny nabrał od wczoraj życia. O zmroku w setkach okien zapłonęło światło. Pod kolumnami, w arko-

dach, tłumy ludzi. Wierzę jest prawdziwie piękny – śnieżny i nie za mroźny. Na godzinę przed rozpoczęciem „Strasznego dworu” jestem już na miejscu. Od marmurów i jarzeń kandelabrowych mieni się co nieco w oczach. Główne schody prowadzą na parter i do łóż trzecha, że tak powiem, pomostami. Na górze czają się już chmary fotoreporterów i kamiera telewizyjna. Poprawiam muchę i sunę na pierwszy stopień. Nie czuję się w tych Jupiterach najlepiej, na szczęście mam przed sobą plecy jakiegoś towarzysztwa dyplomatycznego. Panowie w smokingach, przy orderach i kolorowych wstęgach, panie w czerniach, bielach, koronkach spływających do ziemi. I płynię ten potok różnobarwny, namaszczony, uśmiechnięty, dostoiny i pogodny skąpany jednak we wspólnym wzruszeniu lekkiego podniecenia. Nie ma co ukrywać – otworze takich gmachów artystycznych nie dokonuje się nazbyt często. I ta celebra więc i te imponderabilia liczą się dzisiaj bardzo; powiedziałbym, nawet więcej niż same spektakle.

Ale już siedzimy wszyscy na miejscach. W łóżach Edward Ochab, Józef Cyrankiewicz, rząd, członkowie Rady Państwa, korpus dyplomatyczny, na półpietrze pisarze, dziennikarze, wybitni artyści. Przed pulpitem dyrygenta ukazuje się Witold Rowicki. Już idą pierwsze taktory Hymnu Narodowego. Czuję jak za gardło chwytają mnie lekkie kurcz. Zerkam na sąsiadów, wszyscy są jednakowo wzruszeni. W do-rzadku. Potem sładamy i już idzie uwertura do „Strasznego dworu”.

Kolorowe widowisko muzyczne, brawurowo śpiewane i tańczone. W dzień póź-niej na „Halce” artystycznie spektakl wy-paął jeszcze lepiej.

I tak sobie myślę, że nazbyt mechanicznie uprzedziliśmy się do tego gatunku muzycznego. Stuzność chyba miał Witold Rowicki, kiedy mi odpowiadał na pytanie o domniemanym krużysku opery: „Krużysko opery? Raczej estetyków muzycznych”.

Są to widowiska – powiedziałbym – mające coś ze świetnej zahawy ludo-wej prowadzonej przez zdyscyplinowa-nych artystów. Przeto mają one przed sobą jeszcze długi żywot i popularność, z czym przyszło się po owych dwóch pre-mierach moniuszkowskich zgodzić najbar-dziej murawianym artystom. Powodze-nia więc!

A około północy wysypialiśmy się na śnieg przed Teatrem Wielkim. Naorze-ciwko stają warszawska Nika, pokonana, ale niezwyrodniona. Ten teatr, który sta-nął księciem obywateli, wysiłkiem jest także dowodem niespożytości polskiego ducha i polskiej kultury.